BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA
PISMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 26. Niedziela, dnia 21-go grudnia Rok 1913

PRZEZ BOLEŚĆ I MIŁOŚĆ.

OBRAZEK Z ŻYCIA. NAPISAŁ JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Z początku Władyś śmiał się i swoje robił, powoli wszakże zaczął się wystrzegać złego przyzwyczajenia, a w końcu całkiem je zarzucił.

Byłam wdzięczna Leosiowi, alem mu tego niczem nie okazała.

Moje zabawy były niewybredne. Z dziećmi sług, które w oficynach mieszkały, niekiedy także z dziećmi kobiet wiejskich biegałam po sadzie, lepiłam domki, zakładałam ogródki, a już najchętniej robiłam lalki ze szmatek, którym szyłam potem sukienki i kaftaniczki. Poczciwa Warzbińska nauczyła mnie trochę szyć, a że miałam naturę czynną, więc nowe to zajęcie sprawiało mi wielką przyjemność. Ilekroć tedy znalazłam jaką szmatkę, zaraz robiłam z niej nowy strój dla lalki, ku wielkiej uciesze wszystkich moich rówiennic i towarzyszek zabawy, które sztuce władania igłą i memu gustowi nie mogły dość się nadziwić.

I kto wie, czy na tej jednej zabawie nie byłby zbiegł cały mój wiek dziecięcy, gdyby nie wypadek, który, stanowiąc epokę w mojem życiu ówczesnem, skierował mój wzrok gdzieindziej i nauczył mnie patrzeć na życie ze strony poważniejszej.

Raz, wieczorem, usłyszałam nad stawem pisk niewyraźny. Wiatr dął od łąk, więc chwilami nic nie było słychać, za to, gdy powietrze ucichło, pisk robił się wyraźniejszy i był podobny do miauczenia malutkiego kotka. Zaniepokoiło mnie to wielce. Czułam, że istnieje gdzieś żywe i nieszczęśliwe stworzenie, żebrzące ludzkiej pomocy; słyszałam jego głos, a tylko nie wiedziałam, gdzie się znajduje. Może biedactwo leży w sitowiu, do którego przystęp tak był trudny.

Wtem pisk zrobił się głośniejszy i bardziej przeraźliwy. Obejrzałam się, czy mama mnie nie widzi, a gdy się co do tego upewniłam, nie namyślając się dłużej, puściłam się nad staw. Tu wyraźnie już poznałam głos kocięcia. Szłam za nim, brzeg uważnie badając i tak dostałam się szczęśliwie aż do miejsca, gdzie woda utworzyła niewielką kałużę. Tu, na samym jej środku, błotem całe pokryte, a mając tylko łebek do góry podniesiony, miauczało przeraźliwie malutkie kociątko. Było opuszczone... Prawdopodobnie jakiś człowiek bez serca rzucił je tu umyślnie, ażeby zginęło.

Było jeszcze ślepe, nie mogło mnie zobaczyć, ale kiedym zawołała: kyć, kyć ucichło i łebek wyżej podniósłszy, słuchało.

Żal niewymowny za serce mnie ścisnął. Nie myśląc o niebezpieczeństwie, jakie mogło mnie spotkać, wbiegłam do kałuży, a chociaż błota miałam po kolana, dostałam się szczęśliwie do opuszczonej istotki.

Z jakąż radością, z jaką dumą biegłam do oficyn z moim skarbem na rękach. Byłam już czemś na świecie, bom ocaliła życie jednemu stworzeniu!

Ale nie poszłam do Warzbińskiej. Starowina miał swoje upodobania i grymasy; małe kocięta nie należały do jej ulubieńców. Aby więc mojej sierotki nie narazić na wygnanie, wdrapałam się po drabinie na strych, i tam zrobiwszy miękkie legowisko z kawałków starej kołdry, położyłam mego wychowanka w miejscu zacisznem. Za chwilę przyniosłam mu trochę mleka. Biedactwo nie umiało jeszcze pić. Wtedy przypomniawszy sobie, jak sługi karmiły w stajni odłączone cielęta, włożyłam i ja mały palec do miseczki z mlekiem, przytknęłam pyszczek kotka do palca i zaczęłam go uczyć ssać. Z początku nie szło to dobrze, ale powoli przyzwyczaiło się niebożątko do sztucznego ssania i po kilku dniach karmiło się już wybornie.

Zadowolenie moje potęgowało się a duma wciąż rosła. Byłam więc użyteczną! Mało sto razy każdego dnia wdrapywałam się na strych i z każdą godziną przywiązywałam się bardziej do mojego skarbu. Słodkiej niespodzianki doznałam onego ranka, kiedy to na szelest mych kroków i na pierwsze wołanie: kyć, kyć! sierota zerwała się z posłania i z ogonkiem w górę zadartym zaczęła biedz na moje spotkanie.

Chwyciłam ją na ręce, podniosłam do światła, biedactwo już widziało.

Chwili tej nie byłabym oddała za żadne skarby świata!

Gdy kotek podrósł, zaniosłam go ostróżnie do Warzbińskiej i pod pieczęcią tajemnicy opowiedziałam historyę jego żywota. Myślałam, że starowina rozgniewa się, może mnie nawet wyłaje, alem się omyliła. W milczeniu wysłuchała krótkiej opowieści, przyczem głową potrząsała, a kiedym skończyła, wzięła moją głowę w swoje chude ręce i w czoło mnie pocałowała.

Spojrzałam na nią. Była wzruszona i miała łzy w oczach.

Czemu ona płakała?

Niedługo potem tatuś zobaczył, jak z kotkiem na ręku stałam we drzwiach od oficyn. Przystąpił, pogłaskał mnie po głowie i zapytał, skąd go wzięłam. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć — wielki strach zdjął mnie na samą myśl, że tatuś mógłby wszystko mamie powtórzyć — lecz wypadek tak zrządził, że nadeszła Warzbińska, i ta usłyszawszy, o co mnie tatko pytał, opowiedziała mu prawdę rzetelną. Tatko słowa nie mówił, tylko głowę moją podniósł i czas jakiś uważnie mi się przypatrywał.

Potem westchnął, w czoło mnie pocałował i odszedł.

W kilka dni tatuś wyjechał na jarmark do miasta, a gdy wrócił, przyszedł zaraz do oficyn, posadził mnie na kolana, raz i drugi pocałował i w te słowa przemówił:

— Ponieważ zaopiekowałaś się biednem stworzeniem, więc tatuś przywiózł ci coś takiego, co ci pewnie przyjemność sprawi.

To powiedziawszy, wyjął z kieszeni malutką laleczkę.

Boże! jaka ona była śliczna! Buzię miała rumianą, uśmiechniętą; na głowie jasne włoski z długim warkoczem w tyle, które przykrywał kapelusik niebieski, fantastycznie upięty; kształtną jej kibić osłaniała sukienka z niebieskiego jedwabiu, bogatemi koronkami obszyta; zgrabne buciki z lakierowanej skórki opinały nóżki malutkie. Laleczka nie była duża, ledwie tyla, co nożyczki Warzbińskiej, ale jaka śliczna, jaka śliczna! Oczęta miała takie wyraziste, roztropne, że gdym do niej mówiła, zdawało się, że wszystko rozumiała.

Kiedym lalkę pokazała Warzbińskiej, ta uważnie ją obejrzawszy, rzekła:

— Bardzo ładna, lecz uważaj, moje dziecię, żebyś jej nie stłukła, bo ona z porcelany.

Mniejsza o to, z czego była... Ala mnie, obok kotka, była to druga istota mojej piec y powierzona, którą miałam karmić, ubierać, kochać! I kochałam ją tak gorąco, tak całą duszą, że rozstanie się z nią, choćby chwilowe tylko, równało się najwyższej męczarni. Odtąd obiady i wieczerze były dla mnie istną torturą, a najprzyjemniejszemi owe chwile, które spędzała u Warzbińskiej z moją laleczką 'olanach. Nazwałam ją Dzidzi, a musiała być zadowolona z tego imienia, skoro się do mnie wciąż uśmiechała.

Codzień rano myłam ją uważnie, przebierałam, czesałam, o ile to zresztą było możliwe, wieczorem zaś kładłam ją obok siebie do łóżka. W nogach spał kotek. Oboje byli bardzo grzeczni.

Raz, gdym Dzidzi pokazywała dokoła mnie licznie zebranej rzeszy rówienniczek, które nie mogły jej się dość nachwalić, usłyszałam suchy głos za sobą:

— Co to za lalka?

Chciałam ją ukryć, lecz nie było na to czasu.

— Daj mi ją!

Serce uderzyło mi w piersi gwałtownie, jakby wybiła [illegible] moja godzina. Wahałam się jeszcze, lecz głos mamy zrobił się bardziej suchy i bardziej stanowczy:

— Kazia! Czy zawsze będziesz krnąbrną? Daj lalkę, skoro każę!

Podałam ją, równocześnie jednak zasłoniłam sobie twarz rękami, by nie widzieć, co się z nią stanie.

— Od kogo ją masz? — mama zapytała.

— Ode mnie, Julciu, ode mnie — dał się słyszeć głos tatki, który szczęśliwie przyszedł mi na p[illegible]c. — Biedne dziecko nie miało dotąd żadn[illegible] zabawki.

— I mnie ich nigdy nie dawano, a przecie szczęśliwiem się wychowała — mama na to odparła. — Ręczę, że to głupstwo kosztowało cię dużo, a ona ją za kilka dni popsuje. Tymczasem [illegible]a Władysia nie mam na rękawiczki, powinieneś zaś wiedzieć, że to nie ładnie, gdy Walęcki pokazuje się z gołemi rękami. [illegible] ią, jeśli kogo, to dziewcząt nie trzeba psuć za[illegible]u, bo Pan Bóg stworzył je do pracy i w[illegible]i, na zabawę. Życie to nie drobnostka ani romans wesoły! Im mniej upodobań i zachcianek ma kobieta, tem dla niej lepiej.

— Ależ lalka to drobnostka — tatko perswadował. — Lalka jeszcze nikogo nie popsuła. Oddaj [illegible]j, Julciu, laleczkę, oddaj, i chodź, bo chcę ci coś powiedzieć.

Mama rzuciła mi Dzidzi i odeszła z tatkiem.

Miałam cię więc znów, o ty mój skarbie najdroższy!...

III.

Ach, jakie nieszczęście mnie spotkało!

Pewnego dnia obmyłam, uczesałam i wystroiłam moją laleczkę jeszcze staranniej, niż zwykle, kiedy dzieci ze wsi się zbiegły, wsadziłam ją do wózeczka, i w pochodzie tryumfalnym zaczęłam strojnisię obwozić dokoła domu.

Za wózkiem biegły dzieci, weseląc się i krzycząc; za niemi mój koteczek z ogonkiem zadartym.

Wózek był biały, z prostego drzewa, a zrobił mi go Leoś. Kiedy raz zobaczył, że na deszczułeczkę Dzidzi moję wsadziłam i potem sznurkiem ją ciągnęłam, przyrzekł mi wózek zrobić, i dotrzymał obietnicy. Gdy go przyniósł, zaczęłam w dłonie klaskać i chciałam go koniecznie w rękę pocałować, ale on ją cofnął. Pogłaskał mnie tylko po głowie, uśmiechnął się i odszedł.

Nad wózkiem, w tylnej jego części, wznosił się na czterech słupkach baldachin z papieru różowego. Pod nim siedziała moja Dzidzi, wystrojona, uśmiechnięta, szczęściem promieniejąca, jak królowa.

— Pozwól mi wozić twoją panienkę, pozwól! — prosiła Basia, córka karbowego, która już niejednokrotnie używała ze mną tej przyjemności.

Tego dnia jednak miałam złe przeczucie, więc jej odmówiłam, ale Kasia aż ręce przede mną złożyła.

— Pozwól, Kaziu, pozwól, ja [illegible]zecie nie skrzywdzę twojej Dzidzi.

Żal mi się jej zrobiło. Basia nie miała nigdy laleczki, rzekłam tedy po krótkiem wahaniu:

— Dobrze, Basiu, pozwolę ci z nią dom wkoło objechać, lecz uważaj na kamienie, żeby się wózek nie wywrócił.

— Bądź spokojna! Bądź spokojna — Basia odpowiedziała i ująwszy sznureczek, zaczęła wózek toczyć powoli a ostróżnie.

Nieszczęście jednak chciało, że właśnie wybiegł z sieni malutki piesek, którego w oficynach parobcy chowali. Ten jął na dzieci szczekać, dzieci da[illegible]y, że się go boją i przed nim uciekają; zrobiło się zamieszanie. Wśród ogólnych śmiechów i krzyków, Basia zapomniała o mojej przestrodze, i przez innych porwana, puściła się cwałem kamienistą ścieżynką ku stawowi.

Ja przerażona biegłam za nią, wołając:

— Basiu! Basiu!

Jednak jej nie dopędziłam. Basia potknęła się o kamień i upadła, wózek zaś silnem szarpnięciem [illegible]

ciągnięty, przeskoczył ją także i upadł powyżej jej głowy

W oczach zrobiło mi się czarno. Bez tchu przybiegłam do mojej Dzidzi. Leżała o kilka kroków od wózka, strojna, zadowolona, uśmiechnięta, chociaż... bez jednej nóżki. Chwyciłam ją na ręce, podniosłam nóżkę odłamaną i gorzko zawodząc, wróciłam do oficyn. Tu stanęłam pod ścianą. Dziewczątka, boleścią moją wzruszone, oddaliły się nic nie mówiąc.

Łzy płynęły mi coraz obficiej, żal coraz większy w piersi wzbierał. Świat nie miał już dla mnie żadnego powabu, a życie samo było bez wartości. Ach! onej godziny byłabym oddała wszystko, com posiadała — wózek, dwie wstążeczki, może nawet kotka, byle moja Dzidzi miała zdrową nóżkę.

— Czemu tak beczysz? — usłyszałam za sobą suchy głos mamy.

W piersi oddech mi zaparło; przez usta nie wyrwała się więcej żadna skarga. Chciałam i łzy wstrzymać, lecz napróżno... płynęły one wciąż po twarzy, aż sukienka była od nich na piersiach wilgotna.

— Czemu beczysz? Czy może głupiej lalce co się stało? — mama surowiej zapytała i nie czekając aż odpowiem, wzięła Dzidzi i zaczęła ją oglądać. — Noga utłuczona... mówiłam ojcu, że tak będzie... Kto dziś drogie lalki kupuje!... Ty za nią płaczesz — dodała, dotykając się mego czoła kapelusikiem laleczki — a jak matka tamtego tygodnia była chora, toś jednej łzy nie uroniła. Widać, jak matkę kochasz; wolisz zimny czerep, niż mnie!

Chciałam zawołać, że się mama myli, że ją kocham bardzo, lecz zwróciła się już ku stawowi. W ręku niosła lalkę.

Boże, co z nią zrobi?

Śledziłam nie mamę, lecz jej rękę zaciśniętą, z której wyzierały skrawki niebieskiej sukienki; widziałam, za chwilę, jak ręka do góry się podniosła, potem w powietrzu mignęła moja pieszczotka i z pluskiem wpadła do stawu.

Dzidzi utonęła!

Zasłoniłam sobie oczy. Łzy, które dotąd płynęły, zatrzymały się wpół drogi, jakby odrazu wyschło ich źródło. Anim cierpiała, anim myślała... Po chwili zrobiło mi się ciemno i głowa zaczęła boleć. Ściany się trzymając, zaszłam do izby Warzbińskiej.

Staruszka siedziała na ławce pod piecem, choć na dworze był skwar lipcowy, i coś do siebie mrucząc, robiła pończochę. Było to jej ulubione zajęcie, odkąd bowiem do innych czynności nie była zdolną, tatko dał jej chleb łaskawy, za co ona nas wszystkich w pończochy zaopatrywała.

Pragnęłam zbliżyć się do kogo... czułam gwałtowną potrzebę ludzkiego serca i ludzkiej pociechy. Przysunęłam się do piastunki i, głowę do jej piersi przytuliwszy, siedziałam nieruchoma, ale Warzbińska dobrze mnie znała.

— Co ci jest, moje dziecię?

Na te słowa, wypowiedziane tonem tkliwym, żałość znów wezbrała w mojej piersi i łez źródło na nowo odżyło. Głośno płakałam i długo nie mogłam słowa przemówić. Warzbińska tymczasem tuliła mnie do siebie, pieściła, całowała; gdym się nieco uspokoiła, musiałam jej opowiedzieć, co mnie tego dnia spotkało. Wysłuchała i głową potrzęsła.

— Rodem kurki czubate! — rzekła jakby do siebie i zaraz głośniej dodała: — Nie płacz, Kaziu, nie płacz, ja niedługo do miasta pojadę, aby się lekarza na oczy poradzić, to ci przywiozę jeszcze ładniejszą laleczkę.

— Ale to nie będzie moja Dzidzi! — zawołałam ręce łamiąc.

— Nie rozpaczaj, bo to grzech... Cokolwiek mama uczyniła, musi być dobre, przecie ona wie, co dla jej córki jest potrzebne... Mama lalek nie lubi, sama nigdy się niemi nie bawiła, bo i twoja babcia na lalki z pogardą spoglądała. Uspokój się, Kaziu, i zmów paciorek, żeby cię Pan Bóg oświecił. W życiu jeszcze niejedno cię spotka, a jednak największą nawet boleść będziesz musiała znieść mężnie. Serce człowieka mocniejsze od kamienia... Kamień pęknie... serce wytrzyma.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Legenda o drzewku.

Nie wczoraj to, ani przed rokiem, a przed dawnemi bardzo dawnemi laty mieszkał we wschodniej krainie młodzieniec, imieniem Makar. Rodzice odumarli go oboje a on tak długo hulał i biesiadował, aż cały majątek po rodzicach wzięty przepuścił i na żebry zeszedł.

Tak żebrząc, bo głód mu dokuczał nieznośny, szedł do drzwi dawnych przyjaciół swoich, z którymi bawił się i hulał, ale oni odpędzili go sromotnie i ani kawałkiem chleba suchego nie obdarowali.

Wtedy poszedł do lasu ciemnego, myśląc w duchu, że trzeba koniec uczynić takiemu życiu nędznemu.

A kiedy tak chodził po lesie ciemnym i zmarnowane swoje życie wspominał, aż tu skąd się wziął, tu się wziął, staje przed nim starzec siwobrody, odziany w płaszcz bieluśki; twarz miał bledziutką jak opłatek a oczy jego zapadłe smutne były i jakby niewidzące.

Młodzieniec aż wzdrygnął się cały na jego widok, ale starzec ani tego nie zauważył.

— Pragnąłeś mnie poznać, młodzieńcze, — przemówił z dobrocią — ale nie czas ci jeszcze. Wróć i czekaj! Stwórca przedwieczny wyznaczył nam wszystkim zakres pracy i czynu. Cóżby więc powiedział gdybyś stanął przed Nim, nie mogąc żadnych czynów Mu okazać? Tak, jak drzewo na to rośnie, aby wydało owoce, tak i ty masz swoje przeznaczenie, i nie prędzej umrzesz, aż spełnisz to, do czego cię Bóg przeznaczył. Więc czekaj wyroku Bożego a żebyś nauczył się czekania w cierpliwości, weź oto to ziarnko i zasadź je w ziemię, a wzeszłą roślinę pielęgnuj pilnie. Kiedyś zbierać będziesz z niej złote owoce.

To mówiąc, wcisnął Makaremu w rękę maleńkie, brunatne ziarenko i odszedł.

W sercu młodzieńca obudziła się nowa chęć do życia. Ścisnąwszy ziarno w garści, poszedł drogą powrotną. Nie wrócił jednak pomiędzy ludzi, ale u brzegu lasu zbudował sobie chatkę maleńką, wsadził podle niej ziarno odebrane, pielęgnował je pilnie i czekał na owoce.

A drzewko rosło bardzo powoli. Rok mijał po roku a owoców jak nie było, tak nie było. I nieraz szatan dostępował do Makarego, szepcąc słowa pokusy

— Nie bądźże głupcem! Zanim to drzewko rodzić pocznie, ty starcem będziesz. Nie czekaj więc nadaremnie, lecz używaj życia i jego rozkoszy.

Ale Makary modlił się gorąco do Boga, aby pozwolił mu wytrwać i doczekać w cierpliwości przeznaczenia.

Lata mijały za latami. Włosy Makarego stały się bielutkie i splątały się od starości jak wiecha; chód stał się powolny a cała postać pochylona. A ludzie różne dziwy opowiadali sobie o dziadu, co w lesie

mieszka i korzonkami się żywił, dzieci zaś uciekały ze strachu, gdy kto jeno wspomniał o dziadzie z lasu.

A dziad czekał i czekał na owoce ze swego drzewa. Wieczorami przed chatą siadywał i w gwiazdy patrzał. Znał każdą z nich dobrze. Cieszył się, gdy świeciły bystro, smucił się zaś, gdy się która mgłą zasnuła. Zwać go też poczęto gwiazdorem.

Aż dnia pewnego stało się coś niezwykłego. Oto gwiazda wielka i bystra szła od wschodu słońca i stanęła

Pustelnik wzruszył się niezmiernie i rozmyślał, coby to znaczyć miało. Nie inaczej, tylko wielkiego znaczenia wypadek zdarzyć się musiał na świecie.

Wtem głos jakiś szepnął mu wyraźnie:

— Wstań Makary, weźmij co masz najdroższego i ponieś w ofierze nowonarodzonemu królowi.

Porwał się i jął przeszukiwać chatę, coby się w niej znalazło godnego króla. Były tam dwie skóry z lamy białej, wziął je, lecz odrzucił znów, bo były już brudne i poszarpane; był piękny kryształ górski, lecz nieoszlifowany; był pień lipy starej, lecz ten oddawna walał się pod ścianą chaty. A głos wciąż powtarzał: „weź, co masz najdroższego i ponieś królowi".

Makary spojrzał raz jeszcze wokoło. Wtem wzrok jego padł na drzewo.

Tak, to jest najdroższe, co posiadał w życiu. To drzewo nauczyło go kochać Boga i cierpliwie czekać Jego wyroków; to drzewo było celem jego życia.

Nie namyślając się ani chwili, chwycił Makary za topór, ściął drzewko, podjął je na ramię i poszedł prosto za gwiazdą. I stał się chód jego lekki, a serce miał pełne radości. A gdy po długiej wędrówce przyszedł do stajenki Betleemskiej i czołem uderzył Dzieciątku, wtedy wziął drzewko i postawił je przed Panem, jako ofiarę najdroższą.

I stał się cud, bo oto na gałęziach drzewka ukazało się mnóstwo złotych owoców. Król nieba i ziemi przyjął ofiarę pustelnika i hojnie ją wynagrodził.

I wziął stary dziad leśny drzewko na ramię, szedł od chaty do chaty, rozdawał złote owoce i opowiadał wielką, radosną nowinę, jako w stajence urodził się Pan nad pany, Zbawiciel świata.

I od tego czasu co rok przychodzi do domów stary dziad leśny, Gwiazdorem zwany i drzewka przynosi zielone, na których błyszczą złote owoce.

Powinszowania na Boże Narodzenie Rodzicom.

1.

Ojcze kochany i ty Matko droga!
Czegóż mam pragnąć dziś od Pana Boga?
O to Go proszę, gdy się Zbawca rodzi:
Niech Wam obficie za mnie wynagrodzi!
Niech Wam da spokój, żem Was płaczem budził,
Niech Wam da szczęście, żem Was nieraz trudził,
Niech Wam da zdrowie, żem ja Wam chorował,
I stokroć wróci, com już Was kosztował!
A ja się będę starał w każdej chwili,
Abyście ze mnie pociechy dożyli!

2.

Chrystus Pan się dziś narodził,
By nas z nędzy wyswobodził.
Za tę Jego dobroć wielką
Niechaj On ma chwałę wszelką!
Lecz najmilszą Mu ofiarą
Jest żyć zgodnie z prawą wiarą.
Więc jak Jezus, małe dziecię,
Chcę wieść zawsze moje życie,
Pełniąc chętnie te rozkazy,
Które mile mi czynicie,
Bym okazał po wsze razy,
Iżem wdzięczne jest wam dziecię.
Wy zaś, żyjąc długie lata,
Zdrowia, szczęścia, pomyślności
Doznawajcie w obfitości,
Aż was Bóg powoła z świata.

Dla domu i gospodarstwa.

— **Kartofle ze śledziem.** Ugotować kartofle w łupinach, obrać jeszcze gorące i pokrajać w plasterki. Osobno w rądelku zasmażyć siekanej cebuli w maśle do żółtości, dodać trochę mąki, rozprowadzić wodą i przyprawić solą, pieprzem i octem. W tę przyprawę włożyć karofle i kilka śledzi, obranych z ości i pokrajanych. Gdy się wszystko zagotuje i naciągnie, dodać na końcu kwaśnej śmietany i podać ciepło na stół.

— **Groch biały** (szablak) **na kwaśno.** Usiekaną cebulę zasmażyć w maśle do żółtości, dodać mąki, rozprowadzić wodą i przyprawić octem, cukrem, pieprzem i solą; sos musi być dość gęsty. Ugotowany w osolonej wodzie do miękkości szablak odcedzić z wody, włożyć do sosu i razem zagotować.

— **Soczewica z grzybami.** Litr soczewicy wypłukać kilka razy w letniej wodzie i ugotować, wkładając ją we wrzącą, osoloną wodę. Oddzielnie ugotować w małej ilości wody jedną czwartą funta grzybów suszonych, pierwej wymytych. Soczewicę, gdy miękka, zalać smakiem grzybowym, wsypać grzybki drobniutko usiekane i zaprawić cebulką, zasmażoną w maśle, z małą ilością mąki.

— **Soczewica ze śliwkami.** Śliwki suszone oczyścić, osłodzić trochę i ugotować; gdy jeszcze niezupełnie miękkie dołożyć je do gotującej się soczewicy i razem gotować do miękkości. Podaje się do tego chleb.

— **Sałata z kartofli.** Pół litra mleka gotować kilka minut z łyżką mąki, mięszając ciągle, aby nie przywarło, potem osolić, dodać trochę pieprzu białego, sporo siekanej zielonej pietruszki, kilka kropli maggi, roskołatać dobrze i gorące wylać na kartofle świeżo ugotowane, pokrajane w plasterki. Po wymieszaniu doprawić octem z trochę cukru i podać ciepło na stół.

— **Śledzie smażone.** Wymoczone przez 36 godzin śledzie obrać ze skórki, rozpołowić i zalać mlekiem. Po godzinie wyjąć, przepłukać w wodzie, utarzać z obu stron w tartej bułce i smażyć na gorącym tłuszczu na patelni.

— **Doskonałe zrazy z kwaśną kapustą.** Wybić i udusić kawał zrazowej pieczeni na miękko w rądlu, dodawszy do niej masła i trochę pokrajanej cebuli. Gdy się zarumieni i dobrze już miękką będzie, wyjąć ją, wyłożyć na stół, niechaj wychłodnie, poczem pokrajać w ładne zraziki. Trzeba mieć osobno ugotowaną słoniną zapaloną kapustę, wziąć w rądel trochę masła lub młodej słoninki, na spód położyć jedną warstwę zrazów, na to kapusty i tak postępować aż się wszystko wyłoży, potem postawić na wolnym ogniu, nakryć i dusić z godzinę, uważając, aby się nie przepaliły. Tymczasem rozpuścić trochę masła w rądlu, wsypać odrobinę mąki, nakrajać sporo cebuli w szatkę, przesmażyć na tem maśle, rozmieszać zalać rosołem rumianym, i zagotować, aby sos był zawiesisty. Wywrócić na półmisek zrazy z kapustą w całości jakby babkę, i zalać tym sosem cebulowym, posypać trochę pieprzem i podać do stołu.